Nat Schachner, Arthur Leo Zagat

Kopalnie Wenus, S.A.

(Venus Mines, Incorporated)

Wonder Stories, August 1931
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

I

Podróż w chaos

— Halo, halo, halo – Chris, słyszysz mnie? – Halo, halo, halo! — Arnim Penger cisnął na stół tele-komunikator i odwrócił się do swego towarzysza. — Jak na razie brak odpowiedzi.

— Tak, to dziwne, panie Penger. Ale czy naprawdę to jest powód do zmartwienia? Parę godzin temu otrzymaliśmy od pana Bella wiadomość, że wrócił z wyprawy zwiadowczej. A przecież na posterunku, nic mu się nie mogło stać, czyż nie? Aż do jutra miał nie zaczynać handlu, a więc jego Zasłona musiała być pod napięciem, a w jej obrębie nie było żadnego Wenusjanina. Poza tym, to przecież dosyć nieszkodliwe istoty.

Doświadczony handlarz wzruszył swymi szerokimi ramionami.

— Też mi się wydaje, że nic mu się nie mogło stać. Ale to pierwszy wypadek, żeby zawiodła łączność. — Zapadł w milczenie. Ale w jego stalowoszarych oczach widać było blask głębokiego zamyślenia, a na mocno opalonym obliczu rysowało się ponure napięcie.

Wpatrywał się niewidzącym spojrzeniem w wielki stos skłębionej pajęczej sieci, która wypełniała połowę pomieszczenia handlowego niewielkiej placówki. Ten zebrany razem efekt połowy ziemskiego roku spędzonego na handlu z tubylcami, spokojnie wart był pół miliona. A kosztował Kopalnie Wenus, S.A., zaledwie parę buszli jaskrawo pomalowanych paciorków i świecących błyskotek drogich sercu dzikusów.

— Parę mil po drugiej stronie placówki Bella, znajduje się placówka Mikoh — zastanawiał się na głos.

Britt Haldane odwrócił się od okna, przez które kontemplował szaro-bezbarwną dżunglę, gęstej przeszywanej światłem pokrywy chmur, zarośniętych strumieni typowych dla wenusjańskiego krajobrazu.

— A więc, nie bierze pan pod uwagę możliwości kłopotów ze strony Marsjan?

Penger rzucił szybkie spojrzenie wyglądającego jak z obrazka młodzieńcowi, z rozgwieżdżonymi niebieskimi oczyma, lekko rozczochraną blond czupryną, która przez cały czas upierała się aby opadać mu na czoło. Ten osiemnastoletni chłopak sprowadzał wspomnienia z dawnych lat, sprzed dwóch dekad, kiedy on sam obejmował swoją pierwszą stację na Jowiszu.

To były trudne czasy, kiedy nie istniała jeszcze Rada Kontroli Planetarnej, a życie ubarwiała nieustanna wojna podjazdowa z siłami Mikoh, wielkiej Marsjańskiej Interplanetarnej Kompanii Handlowej, jedynego rywala ziemskich przedsiębiorstw.

— Nie, ryzyko takich problemów jest niewielkie — cedził słowa w odpowiedzi na pytanie chłopaka. — Raczej woleliby nie ściągać na siebie gniewu RKP. Jednak, gdyby stawka była dostatecznie duża… — Westchnął tajemniczo. — Pewnie to tylko przez te nieustanne deszcze. Naprawdę z ulgą wrócę na Ziemię, kiedy przyleci statek zmianowy, i zostawię cię tutaj.

Twarz Britta rozjaśniła się.

— Jejku, już nie mogę się doczekać, żeby przejąć obowiązki. Żeby w końcu stać się prawdziwym wenusjańskim handlarzem, odpowiedzialnym za swoją własną stację. — Dostrzegł rozbawiony uśmieszek starszego mężczyzny i pośpiesznie dodał: — Oczywiście, to nie tak, że chciałbym pana stąd wygryźć, ale… wie pan jak to jest.

Arnim pokiwał głową.

— Tak, wiem jak to jest. Czułem dokładnie to samo, kiedy obejmowałem swój pierwszy przydział. To bez wątpienia była ogromna radocha. Dwa dni później, kryłem się za barykadą z lodowych bloków, wymieniając beztrosko strzały z bandą Marsjan, którzy starali się jak cholera, żeby zabić mnie oraz paru innych Ziemian, i przechwycić dla Mikoh najbogatszą kopalnię jowium na Jowiszu.

— Nie było wtedy Międzyplanetarnych Praw Sądowych, nie wystarczyło złożyć pliku papierów do biura na Ganimedesie, żeby potem być chronionym przez statki merkuriańskiego patrolu, z ich emiterami promieni zeta. Łapało się w garść co się dało i trzymało siłą swojej własnej broni.

Oczy młodego człowieka rozbłysły.

— To musiało być wspaniałe! Jaka szkoda, że nie mogłem brać wtedy udziału w tej grze!

— Jeszcze cię na świecie nie było, młody kolego!

Oczy Pengera powędrowały poza chłopaka, na bujne otoczenie widoczne przez otwarte drzwi.

— Hej, nie podoba mi się to miedziane zabarwienie chmur nad horyzontem. Wygląda jakbyśmy mieli posmakować jednej z tych elektrycznych burz, którymi stara Wenus częstuje nas od czasu do czasu. Jeśli takie diabelstwo złapie człowieka na zewnątrz, trzeba być gotowym do cholernie szybkiego powrotu do domu. Nawet tubylcy pędzą do swoich jaskiń, kiedy coś takiego rozszaleje im się nad głowami.

Oczy zwęziły mu się, kiedy wyglądał na zewnątrz. Kapiąca wilgocią dżungla napierała swoją szarą masą na sieć przeplatających się miedzianych włókien, tworzących Zasłonę, tę pozornie delikatną barierę wokół polany wodnistego błota otaczającej ziemską placówkę handlową.

Z niskiej pokrywy mrocznych chmur, lały się strumienie ciepłego deszczu, który mógł słabnąć do mżawki lub nasilać się do niszczycielskiej ulewy, ale nigdy nie ustawał, nawet na chwilę. W oddali chmury zabarwione były złowrogą, czerwonawą poświatą.

— Chodźmy — powiedział w końcu, zamykając drzwi. — Wszystko skończy się za jakieś dwanaście godzin. Uruchom maszyny suszące i zaraz lepiej się poczujemy. Potem spróbuję znowu wywołać Chrisa. Gdyby nie to, że pożyczył Szperacza na tę swoją wyprawę, to naprawdę miałbym ochotę podskoczyć do niego i zobaczyć się co się tam dzieje.

Haldane posłusznie zakręcił się wokół dźwigni maszyn sztucznej atmosfery, które odtwarzały handlarzom ziemskie warunki, na czas

okresów odpoczynku. W czasie kiedy powietrze stopniowo się osuszało, dwóch mężczyzn zdjęło z siebie przemoknięte ubiory robocze. Britt wyciągnął się wygodnie, kiedy ostatnie krople wilgoci były odsysane z opalonej skóry jego ciała.

— No, wreszcie odrobina czegoś dobrego. I niech tam sobie szaleje burza, nie obchodzi mnie to.

Penger popatrzył badawczo na młodszego kolegę. Czy zdoła tutaj wytrzymać, zaczął się zastanawiać, sam ze zdradzieckimi tubylcami, wiecznymi deszczami i straszliwą samotnością? Samotność – tak ona była najgorsza. Czy ten zapalony młody człowiek o świeżej twarzy, nie załamie się pod brzemieniem długich miesięcy, podczas których nie będzie miał żadnej istoty swego gatunku, do której mógłby otworzyć usta, na którą mógłby popatrzeć? No cóż, Chris Bell będzie zaledwie o parę mil stąd. To mu przypomniało, że ciągle jeszcze nie połączył się ze starym Chrisem. Włączył nadajnik.

Ale kiedy to robił, rozległ się trzask i światła jarzeniówek zgasły. Ich zimne, białe światło zastąpił oślepiający niebieski blask, kiedy świat na zewnątrz rozjaśnił potężny rozbłysk pioruna. Potem nastąpiła kompletna ciemność i przez huczący pomruk cichnącego grzmotu i łoskot strumieni ulewnego deszczu walącego o dach, doleciał wysoki, jękliwy sygnał polowego odbiornika.

Arnim skoczył do urządzenia. Jego palce sięgnęły bezbłędnie, znalazły przełącznik i przerzuciły go we właściwą pozycję. W ciemnościach zabrzmiał głos, czyste, wyraźne, angielskie słowa, ale jednak pełne napięcia i ponaglające, wyrzucane jakby z bólem i wyczerpaniem.

— Penger, Arnim Penger, jesteś tam? Penger, Penger, pomocy, Penger!

Arnim szybki włączył nadawanie.

— Chris, Chris, słucham cię. Tu Arnim Penger. Co się dzieje? Szybko, człowieku! Coś ci się stało?

Odległy, odcieleśniony głos zdawał się zamierać.

— Arnim. Dzięki Bogu – w końcu odpowiedziałeś. Minęły całe godziny. Pomocy – pomocy, po-mo-cy!

Przycichł do szeptu, a następnie raptownie się urwał.

— Chris, o co chodzi? Co się stało?

Handlarz krzyczał do nadajnika, ale odpowiedział mu tylko grzechot kropli deszczu i huk grzmotu.

Światła włączyły się z powrotem. Haldane stał tuż za nim, z białą twarzą. Penger popatrzył na niego niewidzącym wzrokiem, oczy płonęły mu stalowym ogniem, a dłonie zacisnęły się w pięści.

— Britt — rzucił ostro, — przejmujesz placówkę!

Wybiegł do przedsionka, wcisnął się w świeże ubranie ze sztruksu i naciągnął na nie swój wodoodporny sztormiak *banta*.

Kiedy jego twarz wyłoniła się ze zwojów czarnego materiału, była zacięta i ponura.

— Jeśli nie usłyszysz ode mnie nic, do czasu przylotu statku zmianowego, każ im wysłać ludzi do placówki Bella. Żadnego handlu. Diabli wiedzą, co zmajstrowali ci Wenusjanie.

Zapinał paski swoich butów błotnych.

Britt z chaotycznym zapałem wyrwał się z ogarniającego go oszołomienia. Niemal jąkał się z pośpiechu.

— Mówię panu, nie może pan tego zrobić – to jest chciałem powiedzieć, że nie może pan wyruszyć samemu. Pójdę z panem – w przeciwnym razie… dobry Boże, wie pan o co mi chodzi.

Zapadł w nagłe milczenie, ale jego wzrok błagał za niego.

Penger poświęcił mu tylko jedno spojrzenie.

— No, dobrze — oznajmił lakonicznie. — Wskakuj w swoje łachy.

Haldane zarumienił się z zadowolenia, słysząc zgodę weterana, i rzucił się pośpiesznie po ubranie. Arnim stał w wejściu, czekając z niecierpliwością. Młodszy mężczyzna strzelił gumą maski oddechowej o głowę i ściągnął na dół kaptur, aż nad okulary gogli.

— Jestem gotowy, proszę pana — ustnik maski dziwnie tłumił ton jego głosu.

Znaleźli się na dworze, wkraczając w świat ogarnięty szaleństwem. Z czarnych chmur, wydających się wisieć nie wyżej niż pięćdziesiąt stóp nad ich głowami, nieustannie strzelały zygzakowate błyskawice, dźgając w ich stronę, jak gdyby same siły natury uniosły się gniewem na istoty z obcej planety. Do ciągłego przetaczającego się grzmotu, dochodziły uderzenia ściany wody, zmienionej niemalże w ciało stałe, bijącej w Ziemian, duszącej ich pomimo założonych masek, usiłującej wcisnąć ich w lepkie błoto, przelewające się nad szeroko rozkładającymi się krawędziami podeszew błotnych butów.

W migotliwym niebieskim świetle poza Zasłoną, wysokie paprocie przygięte pod splątanym gąszczem poskręcanych pnączy, oraz twarde trawy, bujne i rozrośnięte, tworzące prawdziwe zarośla, zdawały się stanowić twardą ścianę, sprasowaną pod ciężarem ton wody, chłostaną wiatrem o huraganowej sile.

Haldane sapnął i zbladł. Nawet taki twardy weteran jak Penger, przez chwilę się zawahał. Ośmielenie się na podróż w takim chaosie, nosiło w posmak szaleństwa. Nikt żywy nie mógł się przez to przedostać. Ale wtedy przypomniał sobie wezwanie, dobiegające w niesamowity sposób z ciemności.

— Pomocy, Penger, pomocy!

Chris Bell wpadł w kłopoty, potrzebował go! Chris, który walczył u jego boku na Jowiszu, dwadzieścia lat temu. Przygarbił ramiona, wciągnął między nie swą masywną głowę, pochylając ją do przodu i ruszył walcząc z wiatrem o sile twardej ściany. Musiał dotrzeć do Chrisa, wbrew wszystkim przeciwnościom!

Wiatr zbił Britta z nóg i rzucił go na jego cięższego towarzysza. Arnim coś krzyknął. Chłopak widział jego poruszające się wargi, ale nic nie mógł dosłyszeć przez ryk tornada. Ociekająca wodą ręka wskazywała gestem drzwi niewielkiego budynku, z którego właśnie wyszli. Penger chciał żeby

wracał, myśląc że nie da rady tej burzy. Tam było sucho, sucho i bezpiecznie.

Tak łatwo byłoby pozwolić wiatrowi na to, aby zepchnął go z powrotem do stacji. Przez cały ten czas udało im się pokonać zaledwie piętnaście stóp. Pomimo wszystko, to była jego placówka, stacja za którą miał przejąć odpowiedzialność, zaraz jak tylko statek zmianowy zabierze stąd Pengera. Nikt by go nie winił za to, że tutaj został – za wykonanie rozkazów.

Ale, był człowiekiem „Wenus, S.A.", jednym z oddanych ludzi kompanii, która podbijała dla Ziemi odległe planety. A inny człowiek „Wenus, S.A." wezwał ich na pomoc, gdzieś tam, w chłostanej przez wicher dżungli. Pokręcił przecząco głową i odepchnął się ręką, co odsunęło go od towarzysza.

Dla odmiany teraz to ręka Pengera znalazła jego ramię, ale tylko po to by uścisnąć je na znak aprobaty. Ponownie zaczęli zmagać się z burzą.

W końcu przeszli przez Zasłonę. Arnim odwrócił się, wyjął coś z przepastnej kieszeni swojego sztormiaka. Mały nadajnik radiowy o niewielkiej mocy, wysyłający tylko pojedynczy sygnał, który przez pół minuty zmieniał nieustannie długość fali. Był to klucz do Zasłony. Penger nacisnął przycisk. Mieniące się małe rozbłyski przemknęły po szarpanych przez wiatr włóknach. Energia została włączona – ta z pozoru krucha i delikatna bariera, brzęczała teraz wibracjami Grendona.

Britt dostrzegł, że niesiony wiatrem deszcz odbija się od niewidocznej ściany. Nic, ani ciało człowieka, ani strzałka Wenusjanina, ani nawet elektro-pocisk o dużej energii, nie mogło przedostać się przez sieć. Stacja była bezpieczna, chroniona przed wszystkimi intruzami, aż do chwili kiedy maszyny generujące wibracje nie zostaną wyłączone przez niewielki przyrządzik, z jego sekretną kombinacją częstotliwości.

Przez dżunglę posuwali się, przeciskając się przez przypadkowo znajdowane przejścia w splątanym chaosie skłębionej przez cyklon roślinności. Pod ich stopami mlaskało czarne bagnisko, ich ruchy ograniczały owijające się wokół nich liany, jak chwytne macki. Wszędzie dokoła szczerzyły się zębiska ostrych cierni. Nawet nie dwadzieścia stóp od nich uderzył piorun, niszcząc wysoką, poskręcaną paproć w morzu płomieni.

Wenusjanie, pomimo że porośnięci rybimi łuskami i płetwonodzy, nie ośmielali się wystawić na dwór nawet nosa. Najgorsze bestie – dziwne ziemnowodne stworzenia zamieszkujące tę mglistą, pierwotną planetę – kuliły się w swych legowiskach, albo zakopywały się głęboko w ochronnym mule dżunglowych stawów.

Ale Ziemianie parli naprzód, na wpół ogłuszeni, ciężko dysząc, na wpół utopieni, kompletnie wyczerpani. Posuwali się o jard, o stopę, o cal za jednym razem. Czołgając się, wdrapując, wijąc się, nawzajem przeciągając, parli przez straszliwą burzę, w odpowiedzi na wołanie o pomoc towarzysza. Zmagając się z huraganem godzina za godziną, w nieludzkiej, niekończącej się walce.

Dwie pokryte po czubek głowy błotem postacie, wytoczyły się spoza krawędzi dżungli, ogłuszone, oszołomione, zataczając się z wyczerpania.

Tuż przed nimi zwisały włókna Zasłony Bella, nietknięte. Przedostali się! Przez dżunglę i burzę, odważni wędrowcy dotarli do celu. Jak długo im to zajęło, ani jaką okrężną drogę musieli pokonać, nie mieli pojęcia.

W pewnej chwili podczas tej podróży bez końca, burza elektryczna ucichła, ale oni nawet tego nie zauważyli, tak otępiali byli przez kotłowaninę sił natury. Za ich plecami zalana wodą i skulona dżungla, zaczęła się prostować. Przez ciemną, ponurą pokrywę chmur przebijały się pierwsze promienie światła. Deszcz osłabł do lekkiej mżawki. Jak na Wenus była to piękna pogoda.

Przed nimi, w obrębie obwodu Zasłony, widać było morze błota. W przenikającym przez chmury świetle błyszczał torpedokształtny dwuosobowy latacz, na wpół ukryty za przysadzistą, prymitywną chatą, której drzwi wisiały otwarte. Co się kryło za tymi drzwiami?

II
Przez Zasłonę

Penger w wiszącym w strzępach wodoodpornym płaszczu *banta*, ostrożnie posuwał się naprzód. Kiedy wyszedł na otwartą przestrzeń, ciszę rozdarł syk, a koło jego okrytej maską i kapturem głowy, przemknęła czerwona smuga. Handlarz zwinął się i rzucił się na łeb na szyję na ziemię.

— Na ziemię! Padnij, szybko! — krzyknął do zaskoczonego Britta.

Młody człowiek rzucił się na ziemię.

— Co, u dia…

— Zamknij się. — Szept Arnima brzmiał ponaglająco. — Leż spokojnie.

Chłopak wykręcił głowę. W wyciągniętej ręce jego towarzysza widać było emiter, a jego ostre spojrzenie przebiegało punkt po punkcie zarośla. Zmęczenie zdawało się zniknąć. W miejscu w którym jego wodoodporny strój został rozerwany przez jakiś cierń, Britt dostrzegł naprężone sznury mięśni na karku.

— Co się dzieje? — wyszeptał.

— Spójrz tam, co wystaje z błota.

Leżała tam niewielka, szkarłatnie upierzona strzałka – wenusjańskie zatrute żądło. Przez młodzieńca przebiegł lekki dreszcz. Widział kiedyś ogromne trójrogie ratlos, wysokie w kłębie na dziesięć stóp, które padały rażone natychmiastową śmiercią, po trafieniu taką strzałką wysłaną z bezbłędną celnością z dmuchawki, przez tubylczego łowcę.

— Niemal udało mu się mnie dostać. Oni są… jest!

Zdanie przerwał gniewny syk broni Pengera. Cierpki odór spalonego ciała uderzył w nozdrza Haldane'a.

— Mam go!

— Gdzie? Kogo?

— Z prawej strony. Widzisz? Za tą lianą w kształcie S.

Chłopak zaczął się uważnie przypatrywać. Początkowo nic nie widział, ale po chwili tuż za wskazanym przez Arnima, pnączem grubości ludzkiego

ramienia, dostrzegł niewielką połyskującą srebrną łatę. Młody człowiek zaczął się podnosić, powstrzymał go jednak stalowy uchwyt Pengera.

— Na ziemię, głupcze! Mogą tu być jacyś inni. Leż na miejscu, dopóki cię nie zawołam. I nie ruszaj się, jeśli chcesz jeszcze kiedykolwiek zobaczyć znowu Ziemię.

Leżący bez ruchu młody człowiek obserwował jak Penger prześlizguje się przez błoto – tak wolno, iż Britt musiał spojrzeć dwukrotnie, aby się upewnić, że w ogóle się poruszył. Zniknął pod kępą brązowych grzybów, wyglądających jak wielkie parasole. Po chwili jego czarny kaptur pojawił się nad kapeluszami muchomorów, ramiona błyszczały czarno wilgocią. Haldane zacisnął nerwowo pięści. Jakież ogromne ryzyko podejmował. A jeśli jacyś inni niewidoczni łowcy wyczekiwali na taką właśnie szansę?

— W porządku, chłopcze. Chodź.

Wołanie Pengera zdawało się dolatywać z ziemi, z zupełnie innej strony! A więc – kim był ten kto stał za grzybami? Czyżby to był Bell? Nowicjusz podniósł się i pobiegł naprzód, skulony, zmierzając do miejsca w którym nagle pojawił się starszy kupiec, bez swojego płaszcza *banta*.

Kiedy Haldane dotarł do swego towarzysza, tajemnica pozornego przybysza się wyjaśniła. Penger właśnie zdejmował swój sztormiak z uschniętego liścia paproci, który go podtrzymywał. Uśmiechnął się ponuro widząc reakcję bladego jak ściana młodzieńca.

— Myślałeś że proszę się o strzałkę, co? Po prostu ściągnąłem z siebie płaszcz, powiesiłem go na gałęzi i odczołgałem się stamtąd. Gdyby kręciło się tu więcej tubylców, natychmiast bym się o tym dowiedział – może miałbym szansę dorwać jednego z nich. Zobaczmy jak wygląda ten ptaszek, którego załatwiłem wcześniej.

Spoglądając na leżącego na ziemi dzikusa, Britt wzdrygnął się. Pomimo prymitywnej twarzy o niskich brwiach, beznosej i ze skrzelami w miejscu w którym powinny być uszy, pomimo nagiej, pokrytej łuskami skóry dzikusa i połączonych błoną palców u stóp, młody człowiek nie mógł pozbyć się poczucia, że leżąca przed nim postać była człowiekiem.

Zaledwie parę godzin temu inne istoty jego rodzaju, a może nawet i ten właśnie tutaj, targowały się z nim na stacji handlowej. A teraz leżał u jego stóp, nieruchomo, w piersi ziała mu wielka dziura, opalona na czarno na brzegach. Te elektro-pociski miały straszliwe działanie, kiedy przy uderzeniu uwalniał się zawarty w nich wysoko-energetyczny radyt.

— Chodź, Britt. Ten już nie żyje, niech tu zostanie. Chodźmy do środka, poszukać Chrisa.

Penger miał w ręku swój mały przyrząd komunikacyjny i nacisnął przycisk przełącznika. Buczenie generatora ze środka chaty, ucichło. Zanurzyli się w zwisające włókna i Arnim błyskawicznie ponownie włączył ochronne wibracje. W samą porę.

Na krawędzi dżungli pojawił się kolejny Wenusjanin, nabierający powietrza w płuca. Jego strzałka wystrzeliła z furkotem z wydrążonej trzciny, którą trzymał przy ustach, odbijając się bezsilnie od Zasłony.

— Zupełnie go nie było widać — sapnął Britt.

Przebrnęli ze zmęczeniem przez lepkie błoto, stając w wejściu do chaty.

— Chris! — zawołał Arnim. — Chris! Jesteśmy! — Potem wyrwało mu się zduszone sapnięcie. — Niech ich diabli, o niech ich diabli! — Był to zarazem szloch i wołanie o pomstę.

W środku, na wilgotnej, pokrytej zielonym szlamem podłodze leżał Chris Bell. Jego ciche, szczupłe ciało było skręcone w męczarniach. Ostre rysy twarzy były zimne i blade, mały czarny wąsik przez kontrast wydawał się jeszcze ciemniejszy. W prawej mocno zaciśniętej dłoni trzymał nadajnik tele-komunikatora, pod rozprutym rękawem widać było na białym ramieniu intensywnie-czerwone oparzenie.

Prawą stopę miał gołą, nogawka spodni była obcięta. Noga spuchła dwu- trzykrotnie w stosunku do swoich naturalnych rozmiarów, aż do miejsca w którym przecinał ją wrzynający się w poczerniałe ciało skręcony skórzany rzemień. Wyglądało to strasznie. Leżąca na podłodze strzałka z czerwonymi piórami, z zakrwawionym grotem, opowiedziała bez słowa całą historię.

— Chris, stary druhu, obudź się! Jesteśmy tutaj! Chris! On żyje! On nie mógł umrzeć!

Dłoń Pengera zanurzyła się w koszuli Bella. Słabiutkie trzepotanie, niemalże niezauważalne, zapulsowało pod badawczymi koniuszkami palców.

— Whiskey! Britt – gdzieś tu musi być. Znajdź ją, szybko!

Haldane obrzucił niewielkie pomieszczenie szybkim spojrzeniem. Na półce dostrzegł pojemnik o znajomych kształtach, z nienaruszoną purpurową banderolą RKP. Okręcił korek. Penger przystawił otwór szyjki butelki między zęby Bella. Niewielki strumyczek wypłynął z kącika ust Chrisa, a potem ranny przełknął zawartość ust, konwulsyjnie. Powieki mu zatrzepotały. Grymas bólu wykrzywił twarz. Zajęczał, a potem otworzył oczy.

— Arnim! — Jego głos był ledwie słyszalny. Słowa brzmiały jakby wymuszone wyłącznie siłą woli. — Nie przejmuj się mną – to koniec. Papiery w lataczu – muszą zostać złożone – natychmiast. List także – wyjaśnia. Idź!

— Chris, stary, co ci się stało? Jak im się udało dopaść cię strzałką?

Umierający człowiek skinął głową w stronę butelki. Penger zaordynował mu kolejną dozę stymulantu. Na policzki Bella powróciła odrobina koloru.

— Panie Penger, dlaczego nic dla niego nie robimy? — wybuchnął Britt.

— Nic nie da się zrobić — padła rozwiewająca nadzieje odpowiedź Pengera. — Jeśli trucizna ze strzałki dostanie się do czyjegoś organizmu, tylko kwestią czasu jest kiedy ten człowiek umrze. Jedyną rzeczą, która utrzymuje Chrisa przy życiu, jest ten rzemień uciskający mu nogę. Ale trucizna przesącza się powoli, pomimo niego – czy nie widzisz jak czarna zrobiła się jego skóra powyżej przewiązanego miejsca? Wkrótce to dojdzie mu do serca.

Chris zaczął mówić ponownie, nieco silniejszym głosem, z fałszywą siłą podarowaną mu przez whiskey. Odpowiadał na ostatnie pytanie Arnima.

— Przeszła przez Zasłonę.

— Przez Zasłonę? Jak na wszystkie piekła…

— Tak. Przez Zasłonę. Była włączona, jestem tego pewien.

Głos Bella zmącony był przez ból, słaby, ale zupełnie wyraźny. Wewnętrzna siła woli zdawała się go wspomagać, powstrzymywać wiszącą nad nim śmierć.

— Była włączona, ale właśnie kiedy szedłem do Szperacza, aby go uruchomić, z dżungli rozległ się jęk, jęk który narastał i opadał, a potem spadł deszcz strzałek. Większość uderzyła w Zasłonę i odbiła się, ale niektóre przeszły przez nią, a jedna mnie dosięgła, utkwiła mi się w nodze.

Penger i Haldane wymienili zdumione spojrzenia, ale nie przerywali rannemu człowiekowi w przekazywanym resztkami sił opowiadaniu.

— Wciągnąłem się tutaj, przewiązałem nogę. Wiedziałem, że to już nie ma sensu, ale musiałem przesłać wam wiadomość. Wywoływałem was i wywoływałem, podczas gdy ten jęk narastał i opadał, narastał i opadał gdzieś tam w dżungli, a dzikusy tańczyły wokół Zasłony i wydmuchiwały przez nią swe strzałki. Obserwowałem ich przez otwarte drzwi, kiedy was wywoływałem, i czekałem coraz bardziej zamroczony na odpowiedź, która nigdy nie nadeszła.

— Zauważyłem, że strzałki przechodziły tylko przez jedno małe, okrągłe miejsce w Zasłonie. Nie przestawałem wywoływać was, aż w końcu zemdlałem. Potem ocknąłem się i wywoływałem was znowu. Ten piekielny jęk nieustannie dobiegał z dżungli, a ci rybiogębi tubylcy tańczyli. Wy zaś ciągle nie odpowiadaliście.

— Potem wszystko znowu odpłynęło. Nie wiem, czy mi się to śniło, czy nie, ale zdawało mi się, że się ocknąłem, podczas gdy ten hałas z dżungli stał się głośniejszy i jakbym widział, jak przez mgłę, że jeden z Wenusjan podkradł się do Zasłony i zaczął przez nią przechodzić. Przechodził przez Zasłonę, chociaż słyszałem jak mój generator pracuje z pełną mocą! Potem, kiedy jego ciało przeszło w połowie przez nią, wyglądało jakby pomarszczyło się i wyschło, tracąc całą wodę. Upadł na ziemię, z wyrazem straszliwej męczarni na twarzy.

— Znów zemdlałem. Obudziły mnie grzmoty, grzmoty i błyskawice. Dzięki Bogu, ten jęczący dźwięk ustał. Ostatnia strzałka uderzyła dokładnie w to samo miejsce, przez które przechodziły inne, ale odbiła się. Zacząłem znowu was wywoływać, nie mając już nadziei. I usłyszałem waszą odpowiedź. Potem… ponownie ciemność…

Ostatnie słowo zamarło w głuchej ciszy. Powieki rannego opadły, ale za chwilę znów się otworzyły. Bell próbował z wysiłkiem podnieść się i usiąść.

— Nie pozwól, nie pozwól im, żeby nas pokonali, Arnim. Oni… nigdy jeszcze nas nie dopadli. Czy mnie słyszysz… stary… robi się… ciemno. Gdzie… gdzie ty jesteś?

— Jestem tutaj, Chris, tuż koło ciebie. Co chcesz, żebym zrobił?

— Szperacz… papiery są tam… i list… do ciebie. Och… och… jak boli — jego dłoń zacisnęła się na sercu, a oczy wpatrywały się niewidzącym

spojrzeniem przed siebie. — Arnim… Britt… złóżcie to zgłoszenie. Idźcie! Jeśli kochacie starą Ziemię – zostawcie mnie i idźcie!

Z powrotem opadł.

— Do… widzenia — wyszeptał. Potem zadrżał i znieruchomiał.

— Do widzenia, stary druhu.

Głos Pengera podejrzanie zabrzmiał jak szloch. Potem odwrócił się do bladego i wstrząśniętego Haldane'a. Twarz starego kupca była ponura, a oczy zimne jak lodowata stal.

— Jeśli kiedykolwiek staniesz się choćby w połowie takim mężczyzną jak on… — zdusił słowa, pozostawiając zdanie niedokończone. Podszedł przez pomieszczenie do ciągle otwartych drzwi i stał tam, wyglądając na zewnątrz.

Britt pochylił się nad nieruchomym ciałem, wyprostował je, narzucił na nie koc ze starannie zasłanej pryczy. W pokoju zaległa ciężka cisza, zakłócana jedynie nieustannym pluskiem deszczu.

— Britt… chodź tutaj! — głos Pengera zaskakująco przerwał panującą ciszę. Haldane skoczył do drzwi. — Popatrz! — Czerwona, metalowa kula wzbiła się z dżungli, zaledwie ćwierć mili dalej, znikając we mgle. — Jeśli to nie statek ze stacji Rutnoma, to ja jestem psiogłowym Jowianinem!

— Rutnom! To szef Mikoh na Wenus, tak? A co on robi tutaj, na terytorium „Wenus, S.A."?

— Tego właśnie muszę się dowiedzieć. Wpadłem już na niego kiedyś, na Jowiszu. Podstępny śmierdziel i walczy nieczysto. Idę tam, do lasu.

— Ale… Wenusjanie.

— Do diabła z Wenusjanami. Muszę się dowiedzieć, czy to on stoi za tym diabelstwem i dlaczego Zasłona zawiodła. Niech Bóg mu pomoże, jeśli to co podejrzewam jest prawdą!

— A więc, idę z panem!

— Zostaniesz tutaj!

— Panie Penger, nigdy bym sobie nie darował, gdybym pozwolił panu wpakować się w kłopoty w dżungli, a ja nic bym nie mógł zrobić, żeby panu pomóc. Proszę…

— Och, dobrze, jeśli chcesz być tak głupi. Posłuchaj – kiedy przejdziemy za Zasłonę, pozwól mi pójść przodem. Idź za mną jakieś pięćdziesiąt stóp z tyłu. Korzystaj z każdego ukrycia jakie znajdziesz i chroń moje plecy. I na miłość Mike'a, nie przyśnij i nie zdejmuj palca z przycisku swojego emitera. Jeśli mnie dorwą, spróbuj przedostać się z powrotem. Zrozumiałeś!

Haldane skinął głową.

Kiedy znaleźli się poza ochronną siecią, przycupnął pod osłoną sękatego korzenia i zdumiał się zwinnością, z jaką doświadczony weteran poruszał się przez zarośla, przemykając z jednego osłoniętego miejsca w drugie jak prześlizgujący się cień. Kiedy nadszedł czas, żeby ruszyć za nim, Britt starał się naśladować swego dowódcę, ale w porównaniu z jego

cichymi krokami, zdawał się poruszać w splątanym poszyciu jak słoń w składzie porcelany.

Nagle Arnim zatrzymał się; nisko pochylony przypatrywał się czemuś przez wyblakłe listowie. Haldane posłuchał ukradkowego sygnału, żeby też stanąć. Po kilku długich minutach Penger wezwał go gestem do siebie.

— Popatrz na to! — Penger wskazał swoim emiterem przez kurtynę liści. Britt starał się przebić wzrokiem mgłę i deszcz, ale nie mógł dostrzec niczego poza wiszącym oparem. Wtedy jednak przelotny wietrzyk rozwiał nieco kurtynę mgły. Spoglądał na stworzoną ludzką ręką polanę. Widać było porąbane pniaki dżunglowych roślin, ciągle jeszcze świeże.

Pośrodku otwartej przestrzeni znajdowała się splątana masa kabli, uzwojeń, rozbitego szkła. Ziemia była wypalona i poczerniała, jakby w to miejsce niedawno uderzył piorun. Z boku, szybko wypełniające się wodą zagłębienie w błocie, wskazywało gdzie spoczywała sfera Marsjan.

— To z tego miejsca dobiegały te jęczące odgłosy. Myślałem, że Chris na wpół majaczył – ale teraz już wszystko rozumiem. To właśnie dlatego zawiodła Zasłona – dlatego też nie mogliśmy połączyć się z Bellem. Jakiś emiter promieniowania, skoncentrowana wiązka, która zneutralizowała wibracje Grendona w miejscu w które uderzała, a także zagłuszyła fale łączności.

— Mocno skupiona była na tyle silna, by otworzyć przejście dla strzałek, ale kiedy rozszerzyli ją, tak by pokrywała wystarczająco dużo miejsca aby zmieścił się człowiek, wibracje Zasłony zostały zneutralizowane jedynie częściowo. To dlatego zginął ten dzikus.

— Ale jakim cudem tubylcy mogliby coś takiego wynaleźć? — zaryzykował opinię Britt.

— Tubylcy, bzdury! To Rutnom zaczął znowu swoje stare sztuczki. Używa tubylców do zamaskowania własnych śladów, tak by mógł nałożyć na twarz swój uprzejmy uśmieszek niewiniątka, kiedy policja RKP rozpocznie dochodzenie. Zagrywał tak już kiedyś, na Jowiszu. Ale dlaczego? Dlaczego? Mamy tu mnóstwo nici do rozplątania.

— Pan Bell mówił coś o złożeniu papierów, które są w Szperaczu – oraz o liście.

— Oczywiście. Teraz już wszystko rozumiem. Miał na ramieniu oparzenie od jowium. A ja myślałem, że on oszalał, że uciekł w marzenia o starych dobrych czasach. Poczekaj. Satona, statek zmianowy Mikoh, powinien być tu za tydzień. Nie mamy czasu do stracenia! Z powrotem na stację!

Handlarz poderwał się do biegu, lekkomyślnie nie bacząc na możliwą zasadzkę. Britt ruszył za nim, zdziwiony.

— Nie mamy czasu żeby go teraz pogrzebać. Wrócimy tu jeszcze! — krzyknął Penger, zamykając drzwi chaty-grobowca Bella. Po kilku chwilach obaj Ziemianie dopadli do niewielkiego dwuosobowego latacza. Penger wskoczył za stery, ryczący odrzut rozdarł błoto pod nimi. Potem Szperacz poderwał się w powietrze i pomknął ze straszliwą szybkością przez warstwy chmur.

Britt poleciał na podłogę, przyciśnięty niesamowitym przeciążeniem. Arnim uczepił się sterów, ciężko dysząc. Na ekranach wizora nie było

niczego widać, poza szarymi, dryfującymi kłębami chmur. Potem w oczy uderzyła ich wspaniała eksplozja światła – słońce! – słońce, którego obaj Ziemianie nie widzieli od połowy ziemskiego roku!

III
Pościg w kosmosie

Szperacz osiągnął limit swojej normalnej prędkości, lecąc teraz w stałym tempie dwustu mil ziemskich na sekundę. Uwolniony od ciężaru przyśpieszenia, Britt poczuł nagłą lekkość. Znaleźli się już na tyle daleko od Wenus, aby nie odczuwać wpływu jej grawitacji.

Penger włączył uzwojenia, które normalizowały warunki wewnątrz statku. Przestudiował wskazania zestawu mierników, patrząc na rzędy drgających igieł, przekartkował szybko atlas z mapami, wygodnie przypięty obok dźwigni sterów. Potem dokonał kilku korekt i zablokował stery.

— Wszystko gotowe. Teraz łajba leci na automatycznym pilocie. Jeśli chodzi o nawigację, to nie mamy nic do roboty, dopóki nie znajdziemy się z odległości jednej czwartej miliona mil od Ganimedesa. Teraz popatrzmy, co się dzieje za nami.

Pokręcił kołem peryskopu. Na ekranie wizora, na tle czerni kosmosu z miriadami skrzących się złocistych punkcików, pojawiła się kula Wenus, ogromny glob otoczony gęstą zasłoną chmur, jaskrawo świecących w świetle słońca. Obaj mężczyźni przysunęli się do ekranu, wypatrując oznak pościgu.

— Marsjanin nas nie goni. Mądrala, jego mała łódź nie dorównuje prędkością Szperaczowi; zostawilibyśmy go daleko z tyłu.

— Proszę pana, tu jest ten list, o którym mówił pan Bell.

Cień uśmiechu przeleciał przez twarz Arnima.

— Och, chciałbyś się w końcu dowiedzieć, o co tu chodzi, co? Nie mogę cię za to winić. Podaj mi go.

Penger zaczął czytać na głos:

„Arnim, piszę to, by zrzucić ze Szperacza wiadomość na twojej stacji, zanim polecę na Ganimedesa. Mam dla ciebie wspaniałe wieści, ale nie ośmielę się przekazać ci ich przez tele-komunikator, ponieważ mogliby je podsłuchać Marsjanie.

Przede wszystkim, jestem ci winien przeprosiny. Po raz pierwszy, chyba, od niemal dwudziestu lat, odkąd walczymy razem jako ludzie Wenus S.A., utrzymywałem coś przed tobą w tajemnicy. A to dlatego, że to nie była moja tajemnica. Ostatnim razem, kiedy byłem na Ziemi, Stromstein powiedział mi, w najściślejszym zaufaniu, że kopalnie jowium na Jowiszu, zarówno nasze, jak i Mikoh, zaczęły się wyczerpywać. Uważał, że ich działanie nie potrwa nawet kolejnych dwóch lat.”

— Nic dziwnego! — zawołał Arnim. Britt popatrzył na niego pytająco, ale Penger podjął odczytywanie listu.

„Oczywiście, zdajesz sobie sprawę z tego, co to by oznaczało. A więc możesz sobie wyobrazić, jak się poczułem, kiedy w czasie wyprawy tej kartograficznej, na którą wyruszyłem, natknąłem się na górę tej swoiście zielonkawej skały, która jest charakterystyczna dla złóż jowium na Jowiszu.

Natychmiast oznakowałem działkę, a potem wyruszyłem z powrotem przez dżunglę do odległego o jakieś dwadzieścia mil miejsca, w którym pozostawiłem Szperacza. Musiałem wziąć ze statku badinitowy pojemnik żeby, jak wiesz, pobrać do niego próbkę, zgodnie z regulaminem Komisji Zgłoszeń Żądań Surowcowych RKP. Ten materiał był niemal czysty. Paskudnie też oparzyłem sobie ramię, kiedy się o niego przypadkowo otarłem.

Kiedy pobrałem próbkę i wracałem do latacza, natknąłem się na Astna, pomagiera Rutnoma. Popatrzył dziwnie na pojemnik i na oparzenie na mojej ręce, ale szybko mu wyjaśniłem, że wyruszyłem zbierać owady, a pojemnik był jedyną rzeczą jaką znalazłem, do której mogłem je wsadzić. Chyba udało się go oszukać, ale trochę się tym martwię.”

— Taa, oszukał go — Penger przerwał sam sobie. — Dla tych Marsjan trzeba wymyślić coś znacznie lepszego.

„Nie mam już wiele do dodania. Przygotowałem Szperacza do długiego lotu i zaraz jak tylko skończę pisać, startuję na Ganimedesa, żeby zgłosić działkę. Potem będziemy mogli zagrać Rutnomowi na nosach.

Do czasu zanim wrócę, ty już będziesz na Ziemi. Szczęściarz. Przekaż moje pozdrowienia ziemskim knajpom. Powiedz też dzieciakowi, że skontaktuję się z nim zaraz jak tylko będę z powrotem. Kiedy kopalnia zacznie działać, Wenus przestanie być takim samotnym miejscem. Na razie. Chris.”

— Dokładnie tak jak myślałem — podsumował Penger, — kiedy zobaczyłem, że Rutnom też zaczął za tym gonić. Przyjrzyjmy się papierom lokalizacyjnym.

— Kaseta z dokumentami jest tutaj, proszę pana. Ale jest zapieczętowana.

— Zapieczętowana! A niech to diabli. — Penger popatrzył ponuro na kasetkę z argento-platenoidu, które podał mu Britt. — To kiepska sprawa. A co jeśli stracimy to coś – tylko Bell wiedział gdzie znajduje się złoże. A on nie żyje.

Nawet kapitanowie międzyplanetarnych statków handlowych bywają czasami podatni na korupcję, a Mikoh zawsze było chętne do tego aby dobrze zapłacić za możliwość rzucenia okiem na raporty i inne dokumenty,

które krążyły po kosmosie między odległymi stacjami ziemskich kompanii i wielką Centralną Kwaterą Główną w Denver.

I w tym właśnie celu, wprowadzono te kasety na dokumenty. Kiedy już zostały zapieczętowane, nie można było ich otworzyć inaczej, niż przy pomocy wyrafinowanej aparatury rozpieczętowującej, znajdującej się tylko w Denver i, co było wyrazem ogromnej siły RKP, w tak istotnych punktach tego czcigodnego ciała, jak Biuro Zgłoszeń Roszczeń Mineralogicznych na Ganimedesie. Każda próba siłowego dostania się do zawartości kaset, powodowała uwolnienie w środku chemikaliów, które niszczyły całkowicie wszystko co zawierały.

— No cóż, będziemy więc musieli dobrze się tą kasetą opiekować i nie zgubić jej — kontynuował Arnim. — Jak widzę, jest tu także badinitowy pojemnik z próbką. Dobrze. A teraz, co byś powiedział na jakiś posiłek?

— Myślę, że to wspaniały pomysł. Pan Bell na pewno dobrze zaopatrzył statek w tabletki żywnościowe. A zbiorniki z wodą są wypełnione po brzegi. Muszę powiedzieć, że gdyby nie pamięć o tym, że zostawiliśmy go tak leżącego, byłoby wspaniale. W życiu bym się nie spodziewał, że znajdę się w drodze na Jowisza.

— Nie jesteśmy na pikniku, nie oszukuj się. Jeszcze nigdy nie słyszałem by Rutnom, czy jakiś inny człowiek Mikoh zrezygnował bez walki. Będą nas ścigać, to nie ulega wątpliwości. A żeby ich pokonać, będziemy musieli wyrąbać sobie drogę.

— Jakoś mnie to nie martwi, panie Penger — odparł pewnie Britt. — Wiem, że pan wygra.

— Proszę powiedzieć, panie Penger — odezwał się chłopak po dłuższej chwili milczenia, w czasie której zajęci byli zaordynowaniem sobie ogromnych racji skoncentrowanej żywności, — dlaczego Rutnom miałby posunąć się aż tak daleko, żeby próbować przechwycić naszą działkę? Pomimo wszystko, monopol na jowium mają rządy. Nie ma możliwości, aby ktokolwiek zarobił na nim jakieś pieniądze.

— Jest całe mnóstwo powodów. Jeśli nie zgłosimy tej działki, to za parę lat nie będzie już żadnych Ziemian, którzy przejmowaliby się zarabianiem pieniędzy. Słyszałeś, co Bell pisał o wyczerpywaniu się kopalni na Jowiszu?

— Tak, proszę pana.

— No cóż, wiesz przecież do czego wykorzystuje się jowium. To katalizator, który czyni podróże międzyplanetarne opłacalnymi w praktyce. Och, mieliśmy statki kosmiczne przed znalezieniem jego złóż na Jowiszu. Ale żeby się gdziekolwiek dostać, musiały one przenosić tak ogromne ilości paliwa, że nie pozostawało ani miejsca, ani mocy napędowych na komercyjnie opłacalne ładunki, czy też, co bardziej istotne w tym przypadku, ciężkiego uzbrojenia.

— Były w stanie zabrać na wyprawę badawczą dwóch-trzech ludzi. Taka sama sytuacja miała miejsce zarówno na Marsie, jak i na Ziemi. Ich paliwo nieco różniło się od naszego, ale zasada była taka sama. To prawda, że Merkury już od wieków miał silniki na energię słoneczną, ale odmówili podzielenia się z nami tym sekretem.

— Ich cywilizacja tak dalece wyprzedza naszą, że odmawiają jakichkolwiek kontaktów z Ziemianami czy Marsjanami, na których patrzą z góry, tak my patrzymy z góry na dzikusów z Jowisza, czy Wenus. To prawda, że utrzymują pokój, ale dlatego tylko, że uważają to za obowiązek wynikający z ich wyższości.

— Odkrycie jowium zapoczątkowało komercyjną eksploatację odległych planet. Zapoczątkowało ono także kosmiczny wyścig zbrojeń między Marsem a Ziemią, który do dzisiaj pozostał nierozstrzygnięty.

Britt słuchał uważnie. Naturalnie słyszał o tym wszystkim w szkolnych przekazach, ale słuchanie suchej historii i wysłuchiwanie jej na własne uszy z ust człowieka, który widział jak ta historia się tworzy, wręcz pomagał ją tworzyć, były to zupełnie różne sprawy.

Poza tym przebiegał go dreszcz emocji na samą myśl o tym, że nawet w tej chwili brał udział w kolejnym rozdziale tej pasjonującej opowieści.

— Widziałeś już trochę bezwzględnej natury Marsjan. Jak myślisz, co by się stało z Ziemią, gdyby nasze kopalnie jowium uległy wyczerpaniu, a oni ciągle mieli jego obfite zasoby, tak jak Bell ocenia te nowe złoża?

— Wypchnęliby Ziemię z kosmosu.

— Tak, i prawdopodobnie zaatakowali nas w domu. Widzisz więc jak żywotnie ważne jest dla nas bezpieczne dostarczenie tej kasety oraz jej zawartości na Ganimedesa.

— To dlatego tak pan się śpieszył ze startem? Kiedy już wydostaliśmy się z Wenus, Rutnom nie może sprawiać nam więcej kłopotów. Jak sam pan mówił, jego latacz nie jest nawet w przybliżeniu tak szybki, jak Szperacz.

— Jego statek nie jest, ale za tydzień powinna przylecieć Satona. Lot, nawet z najwyższą szybkością, zajmie nam kilkanaście dni. Ona jest w stanie pokonać tę drogę w dziesięć. Biorąc pod uwagę jej uzbrojenie, mielibyśmy takie szanse na uniknięcie złapania, jak śnieżka na przetrwanie na Słońcu. A na pewno tego spróbują, drogi chłopcze, na pewno spróbują.

— Powinno nam się udać, z zapasem około czterdziestu ośmiu godzin, ale te statki Mikoh nie trzymają się bardzo dokładnie rozkładu, i Satona może przylecieć na Wenus dzień, dwa przed czasem. Jeśli tak się stanie, będziesz miał niezłą zabawę.

Dzień za dniem Szperacz mknął przez kosmiczne otchłanie. Dzień za dniem Ziemianie wpatrywali się w ekrany wizora, przepatrując otaczającą ich aksamitną ciemność niebios przy pomocy elektro-teleskopu. Ich znużone spojrzenia napotykały tylko wspaniałości niezmierzonego wszechświata. Minął tydzień i ciągle nie było widać żadnych oznak pogoni. Ziemianie zaczęli oddychać nieco głębiej. Jeszcze trochę i znajdą się poza zasięgiem Marsjan.

Wtedy, ósmego dnia, znajdujący się przy teleskopie Britt nagle wykrzyknął:

— Panie Penger, co to jest? Nowa gwiazda, albo…

Penger skoczył do teleskopu. W miejscu, w którym nie powinno być żadnej gwiazdy, widać było jakieś nowe ciało, jakby nową gwiazdę, świecącą czerwonawo w ukośnie padających promieniach słońca. Nawet kiedy na nią patrzył, robiła się coraz większa, przyjmując formę małego pół-dysku.

— To Satona, zgadza się. I to właśnie w chwili, kiedy już zaczynałem myśleć, że udało nam się przed nią uciec. Popatrz jak się zbliża! Hej, Britt, miej ją przez chwilę na oku, a ja spróbuję wycisnąć jeszcze trochę szybkości z tej łajby.

Haldane przywarł, zafascynowany, do okularu, podczas gdy Penger rozpaczliwie usiłował wymyślić, jak mogliby uciec pogoni. Przy określonej energii jaką mieli do dyspozycji, ich prędkość była żałośnie ograniczona, a wskaźnik licznika szybkości nie mógł przesunąć się na swojej tarczy powyżej wskaźnika 250. Użycie wyższej energii w próbie wyciśnięcia ze Szperacza czegoś więcej, byłoby samobójstwem.

— Jezu, panie Penger, oni doganiają nas niemal w oczach. Muszą robić z pięćset na sekundę.

— To najszybszy statek Mikoh. Słyszałem, że w locie testowym wyciągnął sześćset pięćdziesiąt.

Satona na dużym ekranie wizora była już wyraźnie bliżej, półkula błyszcząca w bocznych promieniach słońca. I tak mały Szperacz niestrudzenie umykał bez przerwy przez przestrzeń kosmiczną, a jego załoga myślała i myślała, tak jakby samo natężenie woli, mogło zwiększyć szybkość ich pojazdu. Zaś ścigający ich statek z każdą chwilą robił się coraz większy na ekranie.

— Czy nie ma jakiegoś sposobu, którego moglibyśmy spróbować, żeby obronić przed nimi te papiery? — w pewnej chwili wydusił z siebie Britt przez zaciśnięte zęby.

— Jeśli dojdzie do najgorszego, rozbiję kasetę. To zniszczy jej zawartość, ale nie przyniesie nam zbyt wiele korzyści – spowoduje tylko pewne opóźnienie. Będą przeszukiwali Wenus, dopóki nie znajdą kopalni Bella i upewnią się, że żaden Ziemianin nie będzie miał szansy ich w tym wyprzedzić.

— Ale my także możemy wysłać ekspedycje.

— Taa? Ziemia niczego się nie dowie, dopóki nie będzie za późno. Chyba nie sądzisz, że pozostawią nas przy życiu, żebyśmy mogli o wszystkim opowiedzieć. Nie. Naszą jedyną szansą jest dostarczenie kasety na Ganimedesa. I niech mnie diabli, jeżeli… zaraz mam pewien pomysł. To może zadziałać.

Wzrok Pengera powędrował mechanicznie w stronę kryształowej mapy, po której przesuwał się czerwony punkt, wyznaczający pozycję Szperacza w głębinach przestrzeni międzygwiezdnej. Niebieskie dyski wskazywały kierunki w jakich znajdowały się Ziemia, Słońce, Wenus, Jowisz oraz inne planety. Ale jakiś cal przed nimi przez mapę przebiegała gromada malutkich niebieskich kropek. Reprezentowały one asteroidy – malutkie odłamki rozsadzonej planety, podążające po swojej własnej orbicie wokół Słońca.

Stary kupiec zmienił obszar widoczny na ekranie wizora. Podążająca za nimi Satona, Wenus, Słońce zniknęły z pola widzenia. Peryskop ustawił się dokładnie do przodu. W ogromnej oddali rozbłysła złotem tarcza Jowisza. Ale bliżej – nawet nie czterdzieści tysięcy mil przed nimi, znajdowała się plamka światła, coś odbijającego światło słoneczne. Penger chrząknął.

— Britt, weź namiary na Satonę. Jak daleko jest za nami?

— Zaledwie sto dziesięć tysięcy mil. Różnica prędkości wynosi niemal czterysta mil na sekundę. Dogonią nas za pięć minut.

— Dobrze! — warknął starszy kupiec. — Przejmij stery. Utrzymuj statek na wyznaczonym przeze mnie kursie.

Britt skoczył, żeby wykonać rozkaz. Pytania cisnęły mu się na usta, ale rozkazujący ton Pengera, surowo zaciśnięte zęby, powstrzymały je. Szperacz zboczył ze swego poprzedniego kursu, zmierzając w kierunku asteroidy, widocznej teraz jako rozmyta kula o średnicy dziesięciu mil, obracająca się z niewiarygodnie dużą szybkością. Arnim złapał cenną kasetkę i po chwili był już na dziobie statku, z ręką na uchwycie dziobowego iluminatora. Latacz miał minąć asteroidę zaledwie o niecałą milę. Właśnie do niej dolatywali.

— Skręcaj, człowieku, skręcaj w lewo! Szybko!

Jeszcze w chwili kiedy Britt kręcił kołem sterowym, wykonując ten rozkaz, Arnim otworzył iluminator, wyrzucił kasetkę w kierunku zakrzywiającego się toru lotu Szperacza i zaczął się siłować, aby zatrzasnąć grube szkło, pomimo silnego prądu wypływającego powietrza. Latacz zatoczył wielkie półkole wokół wirującej karłowatej planetki i skierował się z powrotem w stronę Satony, która obecnie była już na wyciągnięcie ręki. Penger pośpiesznie znalazł się przy teleskopie.

IV
Schwytani!

W kabinie zabrzmiał zgrzytliwy, metaliczny głos.

— Szperacz, zatrzymać się!

Oko Arnima przyklejone było do okularu teleskopu. Ku zdziwieniu Haldane’a, nie zwracał najmniejszej uwagi na wywołanie. Młody człowiek zawahał się, a następnie z rumieńcem gniewu na twarzy rzucił się do sterów.

Jakiś szaleńczy plan ucieczki musiał przelecieć mu przez głowę, kiedy szarpiąc dźwignię za dźwignią, rzucał małym lataczem we wszystkie strony w wariackich, chaotycznych zygzakach. I znów z ust Pengera nie wydobył się żaden dźwięk, poza wymruczaną uwagą:

— Chyba się udało!

Ponownie z odbiornika radia kosmicznego Szperacza zabrzmiał zimny, pogardliwy głos:

— Ziemianie, nie stawiajcie oporu, to beznadziejne. Tu mówi Rutnom.

Twarz Britta płonęła z furii. Pogroził pięścią w stronę obrazu wypełniającego ekran wizora, obrazu wielkiego marsjańskiego statku kosmicznego, rdzawo-czerwonego jaja z metalu, z przeplatającymi się literami, oznaczającymi M. I. Ko. H. w marsjańskim alfabecie.

Nagle Szperaczem szarpnęło, jego gwałtowne ruchy zostały powstrzymane w wydawałoby się pustym kosmosie. Pochwyciła go potężna siła, która zaczęła nieodparcie ściągać go w stronę jego wroga. Ziemski statek cały trząsł się, szarpiąc pełną mocą silników rakietowych, pomimo próżni kosmicznej dokoła, otoczony kłębami rozpalonych gazów.

Ale moc, która potrafiła posłać go z prędkością dwóch setek mil na sekundę, była bezradna przeciwko przyciąganiu pól magnetycznych Marsjan. Nieubłaganie mały latacz był ściągany do tyłu, coraz bardziej, bardziej i bardziej, aż w końcu zawisł wzdłuż metalowej burty Satony i został do niej mocno przyciśnięty.

Dopiero wtedy Penger wreszcie oderwał się od teleskopu, który tak dziwnie go pochłaniał.

— Wyłącz to, ty głupcze! — wyszeptał pośpiesznie do Britta. — Pozwól, że ja się tym zajmę.

Potem, kiedy ryk silników zaczął cichnąć i w końcu zamilkł, oznajmił głośno:

— Tu mówi Penger. Czego od nas chcesz, Rutnom?

— Ach, a więc mam do czynienia z Pengerem! — Wiesz przecież, czego chcę. Mapy z lokalizacją kopalni jowium, znalezionej przez Bella. Dostarcz mi ją, razem z pojemnikiem z próbką, daj mi słowo, że nie zameldujesz o tym wypadku, a pozwolę ci wrócić na Wenus i włos ci z głowy nie spadnie.

Odpowiedź Pengera była zimna i całkowicie spokojna.

— Przykro mi, ale nie mam mapy.

— Nie igraj ze mną. Nie podjąłbyś tej pośpiesznej podróży w kierunku Antka[1], gdyby twój kumpel ci jej nie przekazał. Oddaj ją natychmiast, musisz przecież wiedzieć, że niebezpiecznie jest sobie ze mnie żartować.

— Znasz moją reputację. Ja nigdy nie kłamię. Miałem tę mapę, to prawda. Ale kiedy zobaczyłem, że nie uda mi się przed tobą uciec, wyrzuciłem kasetkę, która ją zawierała, przez iluminator dziobowy mojego statku. Jest poza twoim zasięgiem.

— Poza moim zasięgiem? No cóż, Penger, zaczynasz się chyba starzeć. Zauważyłem wasz szalony manewr i zainteresowałem się nim. Obserwowałem co zrobiłeś w naszym telewizorze. Wrzuciłeś kasetkę w pole grawitacyjne asteroidy, Do tej pory leży ona już na jej powierzchni. Ten kawał skały jest bardzo mały, planowałeś się jakoś wykpić i wrócić tam po nią. W ten sposób moje zadanie robi się dosyć proste. Wylądujemy tam. Kiedy już odzyskam mapę, zajmę się ponownie wami.

— On mnie przechytrzył, Britt!

W głosie Pengera zabrzmiało zniechęcenie i rozpacz. Ale uważnie przyglądający mu się młodzieniec zauważył uśmieszek, który przewinął się przez naprężone z napięcia wargi starego kupca. Zastanowiło go to.

[1] Marsjańska nazwa Jowisza. Aczkolwiek Rutnom mówił po angielsku, w gniewie zapomniał ją przetłumaczyć.

Ostrzegawczy gest Pengera, powstrzymał jednak widoczne w oczach chłopaka pytanie.

Satona, razem z mocno przyciśniętym do swojej burty Szperaczem, w czasie tej wymiany zdań wisiała bez ruchu w kosmosie. Teraz schwytani Ziemianie ujrzeli niebieski rozbłysk gazów wyrzutowych marsjańskiej sfery kosmicznej i poczuli wibracje jej odrzutu.

Najpierw powoli, potem coraz szybciej i szybciej, połączone statki zaczęły krążyć wokół wirującej asteroidy. Dla znajdującego się gdzieś daleko w kosmosie obserwatora, prędkość tego sztucznego satelity szybko wzrastała, aż w końcu tor lotu obu połączonych lataczy, musiał zmienić się w szary, zamazany okrąg, pośrodku którego znajdowała się mała planetka, sama rozmyta w wyniku ogromnego tempa swojego wirowania.

Dla Arnima i Britta, obserwującego ekran swojego wizora efekt tego krążenia wyglądał odmiennie. Na czarnym niebie rozciągał się oślepiająco biały łuk zataczany przez słońce. Gwiazdy pędziły tak szybko, iż zmieniły się w złote linie. Ale mała planetka pod ich stopami zaczęła robić się wyraźna, w miarę jak ich szybkość zbliżała się do prędkości jej obrotu.

Wkrótce mogli już rozróżnić postrzępioną masę nagich skał. Asteroida nie miała kulistego kształtu, ponieważ ciało to nie zostało uformowane jako stopiony glob, ale było odłamkiem wyrwanym z pradawnej planety w wyniku jakiegoś niewyobrażalnego kataklizmu. Był to po prostu wielki, postrzępiony głaz, z grubsza elipsoidalny, o średnicy około dziesięciu ziemskich mil w najszerszym miejscu i może sześciu mil z najwęższym.

W miarę wzrostu prędkości, Rutnom schodził po spirali coraz niżej. Asteroida wypełniła cały ekran, naga skalna płyta, rozbita i rozdarta przez gwałtowne bóle swych narodzin.

— Halo, dryfujemy do tyłu! — Britt przerwał milczenie.

Penger roześmiał się krótko.

— To tylko tak wygląda. Po prostu nie osiągnęliśmy jeszcze pełnej prędkości obrotu asteroidy.

Wreszcie zejście dobiegło końca.

— Ktokolwiek by nie sterował tym statku, to naprawdę doskonały pilot! — zabrzmiał hołd Arnima dla pozbawionego najmniejszego wstrząsu lądowania. Potem jego twarz zrobiła się nagle ponura. — Część silników rakietowych jest ciągle na chodzie. Szybko, chłopcze, w którą stronę są one skierowane?

— Prosto w górę, proszę pana!

Penger skinął głową.

— A więc nie pomyślał o tym — wymamrotał pod nosem, ledwie słyszalnie nawet dla Britta. — Zachowuj się spokojnie i postępuj za moim przykładem. Przy odrobinie szczęścia, jeszcze te ptaszki załatwimy. — Odsunął berylowo-stalowe osłony, zakrywające szyby bocznych iluminatorów.

Właz śluzy powietrznej na burcie Satony otworzył się. Trzech Marsjan, groteskowo wyglądających w swoich bulwiastych, napompowanych

skafandrach kosmicznych, schodziło z niego po chwiejącej się drabince. Waga Szperacza, ciągle przytwierdzonego do kadłuba marsjańskiego pojazdu, powodowała że większy statek nieco się przekrzywił. Co prawda waga ta nie była duża, w niewielkiej grawitacji miniaturowej planety, ale marsjański kapitan ewidentnie musiał uznać, że na razie nie warto korygować przechyłu, przy wykorzystaniu odrzutu silników.

Arnim i Britt obserwowali jak dziesięciostopowi obcy przechodzą przez krótki odcinek wzdłuż pokładu, do tylnego włazu ich statku. Każdy z nich miał zapięty na biodrach pikowany pas, którego wypukłości ujawniały miejsca wsunięcia cewek grawitacyjnych. Gdyby nie one, ci Marsjanie wyskakiwaliby przy każdym kroku na wysokość stu stóp, tak niewielkie było przyciąganie asteroidy.

Kiedy ich zwycięzcy dotarli do Szperacza, zabrzmiał znowu głos Rutnoma.

— Ziemianie, otwórzcie swoją śluzę powietrzną dla moich ludzi i wpuśćcie ich do środka.

— A przypuśćmy, że odmówię?

— Wtedy sami wypalimy sobie przejście, i skończy się to dla was tylko gorzej. Ostrzegam cię ponownie, Penger, nie jestem w nastroju do gierek.

Stary kupiec wzruszył tylko ramionami i pociągnął za dźwignię uruchamiającą zewnętrzny właz do śluzy. Ku zdziwieniu Britta, kiedy to robił jego lewe oko zamknęło się w ewidentnym mrugnięciu. Weteran musiał mieć jakiś plan, jakąś strategię. Haldane wykręcał sobie mózg, próbując się jej domyślić, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

Olbrzymi napastnicy znaleźli się we wnętrzu statku. Kiedy Ziemianie zobaczyli w ich dłoniach gotowe do użycia pękate podczerwone pistolety energetyczne, ich ręce natychmiast wystrzeliły do góry. Jeden z Marsjan, widocznie dowódca, wyrzucił z siebie gardłowe zdanie w ich języku. Pozostali ostrożnie ruszyli naprzód. W mgnieniu oka Penger i Haldane zostali złapani, niezbyt łagodnie obszukani, zabrano im broń, a nadgarstki związano twardymi sznurami.

— Hej, po co tak ostro! — zaprotestował Britt, kiedy wykręcono mu ręce za plecami. Ale jego okrzyk nie wywołał żadnej reakcji, poza szczególnie brutalnym zaciśnięciem jego więzów. Arnim milczał, chociaż jego oczy pałały jak rozjarzone węgle.

Obaj więźniowie zostali bezceremonialnie rzuceni na ścianę swego statku. Przypuszczalny dowódca pozostał na ich straży, paskudny otwór jego broni nawet na chwilę nie przesunął się ze swej groźnej pozycji. Pozostali dwaj rozpoczęli pośpieszne, ale gruntowne przeszukiwanie kabiny.

Każdy kącik czy szczelina zostały sprawdzone, drzwiczki od szafki z jedzeniem wyrwane z zawiasów, płyty z podłogi zerwane po stopieniu ich nitów za pomocą pistoletu energetycznego. Nawet metalowe ściany statku zostały cal po calu przebadane, w poszukiwaniu oznak jakiegoś schowanej w nich skrytki.

Nagle jednemu z Marsjan wyrwało się chrząknięcie, sygnalizujące odnalezienie przez niego badinitowego pojemnika z próbką jowium.

W końcu, widocznie stwierdziwszy, że mapy lokalizacyjnej nie było na pokładzie, dowódca ludzi Mikoh powiedział coś głośno, w dziwacznym, pełnym zbitków spółgłosek marsjańskim języku. Z głośnika dobiegła krótka odpowiedź, a następnie Rutnom w swym superdokładnym angielskim oznajmił Ziemianom:

— Wy dwaj, zostaniecie przeniesieni na nasz statek. Ustawcie swoje bloki grawitacyjne na pełne przyciąganie ziemskie. Ciążenie na tej planetce jest pomijalne.

W milczeniu ludzie z „Wenus S.A.” pozwolili nałożyć na siebie swoje skafandry kosmiczne, po zmianie ustawieniu wskaźnika ich bloków grawitacyjnych. Jeszcze raz Britt zaczął protestować przeciwko niepotrzebnej brutalności, z jaką został potraktowany.

Znów jednakże dostrzegł ostrzegawczy wyraz na twarzy Pengera.

Kiedy niewielka grupka przechodziła na Satonę, puste rękawy skafandrów kosmicznych Ziemian sterczały dziwacznie do przodu, tak jakby wiał jakiś mocny wiatr. Britt zauważył to i zaczął się zastanawiać. Nie mogło być tu żadnego wiatru, ponieważ asteroida była zupełnie pozbawiona atmosfery.

Po chwili jednak zapomniał o całej sprawie i poddał się całkowicie nastrojowi czarnej rozpaczy, który w nim wezbrał.

Po uwolnieniu z obszernego ubioru, we wnętrzu kadłuba marsjańskiej sfery kosmicznej, Penger i Haldane zostali postawieni przed gigantyczną postacią przedstawiciela Mikoh na Wenus i kilkunastoma jego podwładnymi, zebranymi za plecami szefa. Marsjanie byli podobni do Ziemian, poza swymi rozmiarami i swoistym zielonkawym odcieniem skóry.

W chwili kiedy śmiało odpowiadał na szydercze spojrzenie Rutnoma, Britt zdał sobie sprawę z wrażenia dziwnej lekkości, poczucia siły, dziwnie nie pasującej do ich sytuacji. Potem uświadomił sobie, że uzwojenia grawitacyjne na Satonie ustawione były na warunki marsjańskie; że waga, wewnętrzny nacisk na każdą część jego ciała, wynosiło tylko jedną trzecią takiego, jakie panowałoby na Ziemi czy Wenus.

Rutnom odezwał się, w każdej wypowiedzianej przez niego sylabie brzmiała groźba.

— Penger, zaczynam być już tym wszystkim coraz bardziej zmęczony. Powiedz mi, gdzie leży to złoże.

Arnim odpowiedział spojrzeniem na spojrzenie.

— Nawet gdybym wiedział, i tak bym ci tego nie powiedział, ale na szczęście wiem na ten temat tyle samo, co i ty.

Zielona barwa twarzy Rutnoma, pogłębiła się. Jego małe, czerwone oczka, strzeliły ogniem.

— Kłamiesz, Penger.

Stary kupiec nic nie odpowiedział.

— Powiedziałem, że kłamiesz — Rutnom uniósł swój pistolet, złowieszczo. — Spalę każdy skrawek skóry na twym ciele, centymetr po centymetrze, aż w końcu powiesz mi to, co chcę wiedzieć.

Wzrok Pengera był pewny.

— Bell nie zdążył powiedzieć mi tego, przed śmiercią. A już wcześniej zapieczętował mapę w kasecie na dokumenty.

Spojrzenia starych wrogów spotkały się i skrzyżowały. Na czole Rutnoma naprężyły się żyły z wysiłku z jakim starał się odczytać zamiary Ziemianina. Ale to jego spojrzenie jako pierwsze zadrżało i umknęło w dół.

— A więc, dobrze. Ponieważ jesteś tak bardzo uparty, a ja trochę się śpieszę, każę rozpocząć poszukiwania kasetki. Nie powinno być trudno ją znaleźć na tej gołej skale. Ale zapamiętaj sobie, że jeżeli mi się nie uda, to wyrwę ci tę lokalizację z gardła, choćbym miał nawet zmienić cię w kupę dygoczącej papki.

Z ostrym staccato szeregu kolejnych zdań, Marsjanin wydał swoim ludziom rozkazy.

Nowe sznury zostały zawiązane na kostkach nóg Ziemian, a te na ich nadgarstkach, mocniej zaciśnięte.

Wszyscy Marsjanie poza jednym założyli na siebie skafandry kosmiczne.

Po chwili wielki statek opustoszał, zaś Britt i Arnim zostali pozostawieni sami, z jednym tylko ogromnym strażnikiem, pilnującym ich bezradnie leżących ciał. Strażnik był tylko jeden, ale przez cały czas nie spuszczał z nich wzroku, pomimo tego że leżeli rozciągnięci na podłodze, w miejscu w którym ich rzucono. Straszliwa marsjańska broń energetyczna spoczywała w jego dłoni, w gotowości.

Britt wykręcał się na podłodze, aż do chwili kiedy był w stanie popatrzeć przez iluminator. Na zewnątrz, na najeżonej odłamkami skalnej równinie, widział Marsjan zebranych wokół swojego dowódcy. Potem wszyscy rozproszyli się i plan Rutnoma szybko stał się oczywisty. W przód i w tył, w przód i w tył, poszukiwacze podzielili się na cztery części, każda grupa miała do przeszukania swój własny, niewielki fragment powierzchni asteroidy.

W ten sposób, nawet centymetr kwadratowy nie pozostał bez przydzielonej osoby. Zajęczał głośno. Nie było możliwości, aby drogocenna kasetka mogła ujść uwadze wroga. Co ten Penger mógł wymyśleć? Lepiej już było zerwać osłonę i w ten sposób zniszczyć mapę.

V
Strategia

Może miał nadzieję, że uratuje ich na czas jakiś statek patrolowy. Ale wirująca asteroida i cała jej powierzchnia była zamazana dla każdego

przybysza z kosmosu. Byli równie skutecznie ukryci, jakby znajdowali się kilkaset stóp pod powierzchnią. Zdał sobie sprawę, że kupiec coś powiedział.

Ale co on mówi? Rozpacz ścisnęła serce chłopaka. Penger na chłodno, beznamiętnie zaczął obelżywie komentować wygląd osobisty, przodków i obyczaje strażnika.

— Britt, czy widziałeś kiedykolwiek coś takiego, jak ten tutaj? Ma pyszczek jak jakaś mała świnka, której ktoś ścisnął pierścieniem ryjek. A jego cielsko – gdybym ja wyglądał tak jak on, to już dawno poszedłbym i się utopił. Popatrz tylko na te ślepia. Przecież chyba widzisz, że bije z nich strach. To tchórz, mój drogi, to dlatego Rutnom nie zabrał go ze sobą. Boi się nas, chociaż jesteśmy związani.

Teraz Haldane już rozumiał osobliwe zachowanie Pengera, dziwne wrażenie rozbawienia, jakie kupiec roztaczał wokół siebie w czasie całej tej katastrofy, jego niewytłumaczalne działania. Jego umysł się poddał. Długie lata samotności, śmierć najlepszego przyjaciela, schwytanie przez Rutnoma, zniszczyły mózg, który tak długo znany był jako najtęższy w całym zespole „Wenus S.A.”.

— Ten paskudny Marsjanin musi chyba być bękartem najbardziej ohydnych szumowin na tej śmierdzącej planecie.

Spokojny głos kontynuował litanię obraźliwych szyderstw. Marsjanin trzymał się dobrze, czujny wyraz jego twarzy nie uległ zmianie, ale wcześniej czy później Penger zalezie mu za skórę – a wtedy… Britt miał tylko nadzieję, że ta broń energetyczna zabija szybko.

— Nie, Britt, nie zwariowałem. — Młodego człowieka lekko zaskoczyła ta uwaga. — Chcę się tylko zorientować, czy to bydlę rozumie po angielsku. Najwyraźniej, nie. Użyłem kilku najbardziej obraźliwych obelg, jakie można rzucić w twarz Marsjaninowi. Nawet gdyby jego samokontrola była na tyle silna, że nic nie zrobił, to wyraz jego twarzy powinien pokazać nam, że je zrozumiał.

— Gdybym zaczął do ciebie coś szeptać, mógłby nabrać podejrzeń. A tak, po prostu myśli, że przeklinam nasze schwytanie. A teraz posłuchaj.

Spokojnym, beznamiętnym tonem, Penger kontynuował. W trakcie, kiedy mówił, rozpacz Britta odeszła w przeszłość i wróciła mu nadzieja.

— Jesteś chyba na tyle blisko ściany, żebyś mógł zaprzeć o nią nogi — kończył Arnim. — Myślę więc, że najbardziej niebezpieczna część zadania, spadnie na ciebie. Wiesz, co masz robić. Ja podporządkuję się tutaj tobie, ale nie czekaj zbyt długo z decyzją. Rutnom może wpaść tu w każdej chwili, a wtedy będzie po nas.

Umilkł, i obaj mężczyźni zamknęli oczy, tak jakby zasnęli. Po paru chwilach Britt poruszył się, jak gdyby przez sen, przekręcił się tak by podeszwy jego butów oparły się płasko o ścianę, i leżał skulony na boku.

Powoli uchylił powieki, robiąc tylko minimalną szparkę. Marsjański strażnik ciągle siedział dziesięć stóp dalej, nadal zachowując czujność. Wtedy, w jednym wybuchu energii, Britt odbił się mocno stopami od ściany. Jego gibkie ciało wystrzeliło jak z katapulty, wyrzucone mięśniami przystosowanymi do ziemskiej siły ciążenia, przelatując dziesięciostopową przestrzeń.

Zanim zaskoczony Marsjanin uświadomił sobie, co się stało, głowa Britta ze straszliwą siłą walnęła w jego miękki brzuch. Poleciał z chrząknięciem w górę, broń wyleciała mu z ręki, i instynktownie wyrzucił ramiona na boki, próbując czegoś się uchwycić.

W międzyczasie Arnim zaczął przetaczać się po podłodze, raz za razem, w poprzek pomieszczenia. W tej samej chwili kiedy gdzieś z tyłu usłyszał łomot upadającego Marsjanina, zatrzymał się, uderzając o nogi pulpitu ze sterami. Nad sobą zobaczył dźwignię, która wyłączała na statku zasilanie. Z wysiłkiem podciągnął się do góry i jego zęby zacisnęły się na jej uchwycie.

Sznury mięśni na szyi napięły mu się, kiedy szarpnął się do tyłu, całym ciężarem ciała. Przez chwilę dźwignia pozostała bez ruchu. Potem, kiedy odbił się kolanami od podłogi i jeszcze raz szarpnął do tyłu, dźwignia poddała się. Palące wyładowania wywołane nagłym wyłączeniem napięcia, rozbłysły mu w twarz, parząc go i oślepiając.

Britt, kotłujący się w nierównej walce z marsjańskim gigantem, usłyszał że stały huk silników rakietowych urywa się. Potem poczuł jak podłoga pod nim dziko wierzgnęła, a następnie że leci do góry, z całej siły o coś uderzając. Otoczyła go ciemność. Ale zanim stracił przytomność, usłyszał jeszcze potężny tryumfalny wrzask swojego szefa.

Pryśnięcie lodowatej wody na twarzy, przywróciło Haldane'a do przytomności. Głowa pulsowała mu z bólu, jakby setki igiełek kłuło go w ręce i nogi. Uniósł rękę do obolałej skroni. Zaraz, przecież był wolny! Pochylał się nad nim Arnim.

— Wszystko w porządku, chłopcze? Dobrze się czujesz? — wypytywał go z niepokojem.

— Tak. Myślę że tak. Trochę jestem oszołomiony, ale to wszystko. — Zmusił się do tego by usiąść. — Ale pan jest poparzony!

Przez twarz Pengera przebiegały trzy sine oparzenia. Jedno oko zamknięte było z powodu białego pęcherza, połowa czupryny zmieniła się w popaloną łatę osmalonych włosów.

— Trochę. — Penger wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Przez ten wyłącznik szła całkiem niezła energia. Mogło być gorzej. Miałem sporo szczęścia. Tak samo jak i ty. Popatrz tylko na swojego niedawnego antagonistę.

Zbita kupa przy ścianie, była ciałem ich strażnika. Dziwny kąt pod którym odchylała się głowa, sugerował od razu złamanie karku.

— Na szczęście w chwili szarpnięcia, to on był na górze. Obaj wylecieliście w powietrze, ale on pierwszy uderzył w ścianę i posłużył jako poduszka dla ciebie. Uczepiłem się zębami tej dźwigni, tak że mnie te lotnicze ewolucje ominęły. Z chęcią zobaczyłbym minę Rutnoma, teraz, kiedy utknął na asteroidzie, bez żadnej możliwości wydostania się stamtąd.

Wskazał gestem na ekran wizora.

Widać było na nim czerń przestrzeni międzygwiezdnej, dalekie błyszczące gwiazdy, bliżej położone Słońce. Oraz, malutką z tej odległości, zamazaną wirującą kuleczkę, którą Britt rozpoznał bez trudu.

— Jezu, panie Penger, ale nieźle go pan wykołował. Nigdy bym nie pomyślał o tym, że grawitacja na tak niewielkim ciele jest za słaba aby przeciwdziałać sile odśrodkowej powodowanej przez tak szybką rotację.

— Nie, a co ważniejsze, Rutnom też nie pomyślał. Byłem tego pewien od chwili, kiedy mi powiedziałeś, że po wylądowaniu pozostawił działające tylko górne silniki. Chociaż z znacznym stopniu przekonany byłem o tym już wcześniej, kiedy zaczął opowiadać, że kaseta jest tam na dole. Pomyślał tylko o braku przyciągania. Dlatego właśnie pozostawił włączone silniki dociskające Satonę do powierzchni, ponieważ bał się, że jakieś nieostrożne odepchnięcie może wyrzucić statek w kosmos. Zapomniał o tym, że asteroida sama go wypycha, i to ze znacznie większą siłą.

— Kasetka — Britta uderzyła nagła myśl. — Straciliśmy ją. Musimy wracać na Wenus i od nowa zacząć szukać kopalni pana Bella.

Penger uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Nie. Ją również szybko odzyskamy.

— Co pan chce przez to powiedzieć? Do tej pory, pędząc przez kosmos, musiała już znaleźć się w odległości setek tysięcy mil. Nigdy nie uda nam się jej odszukać.

— I znów się mylisz, mój chłopcze. Dokładnie wiem gdzie ona jest. I to był najbardziej ryzykowny punkt całego mojego planu. Jak myślisz, dlaczego kiedy ty przeklinałeś Rutnoma, ja przez cały czas siedziałem z okiem przy teleskopie?

Młody człowiek popatrzył na niego pustym wzrokiem. Kupiec mówił dalej z zadowoleniem w głosie.

— Nie wyczyniałem tych zakrętasów wokół asteroidy po to, aby ukryć przez Marsjanami co chcę zrobić. Prawdę mówiąc, to nawet miałem nadzieję, że będą to widzieli. Moim celem było wyrzucenie kasety z dokumentami dokładnie w takiej chwili, i z taką szybkością, aby zrównoważyła ona przyciąganie planetoidy, zmieniając pojemnik w satelitę krążącego wokół niej w kosmosie, po swojej własnej orbicie. Naturalnie, nie miałem czasu na obliczenie dokładnych warunków, ale zaryzykowałem i udało się.

— Wspaniale! A więc, musimy tylko wrócić tam, znaleźć kasetkę przy pomocy teleskopu i złapać ją.

— No cóż — wycedził w odpowiedzi kupiec, — to nie będzie takie łatwe, jak wygląda. Widzisz, całkiem nieźle przysmażyłem bebechy tu, na Satonie. Ogólnie mówiąc, jedyną rzeczą, która ciągle działa, są urządzenia sztucznej grawitacji. Udało mi się je z powrotem uruchomić, ale reszta jest martwa.

— A więc musimy przejść na Szperacza i użyć jego.

— Zgadza się. Wskakuj w swój skafander kosmiczny i ruszamy z tym.

Pracowali pośpiesznie. Arnim sprawdził ich latarki. Były nietknięte w zewnętrznych kieszeniach.

— Wyłącz swoją kontrolę grawitacji — poradził Brittowi. — Lepiej będzie nam się manewrowało.

Byli już gotowi. Penger ruszył jako pierwszy, otworzył zewnętrzny właz śluzy. Wyszli, dziwnie lekcy, w przestrzeń kosmiczną. Skafandry próżniowe natychmiast nadęły się jak balony.

Przez chwilę unosili się swobodnie, podczas gdy Arnim wykonywał pomiary. Bezpośrednio przed nimi, w odległości nie przekraczającej pięćdziesięciu stóp, znajdowała się błyszcząca kula Szperacza. W dole kręcił się postrzępiony odłam skalny, mała asteroida, którą dopiero co opuścili.

Arnim zachichotał ponuro. Pomyślał o Rutnomie i Marsjanach, porzuconych na tym malutkim pustkowiu, bezradnie obserwujących statki kosmiczne dryfujące nie więcej niż pięć mil w górze.

Potem wyciągnął niewielki pistolet napędowy i, wycelowawszy go w stronę przeciwną do Szperacza, nacisnął na spust. Zmienił się w bardzo nieefektywny rakieto-podobny pocisk. Britt widząc to, przez chwilę się zastanawiał i zrobił tak samo.

W końcu Penger omiótł promieniem swojej latarki gładkie, lśniące poszycie Szperacza. Byli w domu.

Jego okryta rękawicą dłoń znalazła przełącznik śluzy powietrznej.

Stali na pokładzie swego starego, znajomego statku, zdjąwszy z siebie skafandry kosmiczne. Britt pełen szczęścia wyszczerzył w uśmiechu zęby. Arnim już był przy elektro-teleskopie, z okiem przyklejonym do okularu przyrządu, wydając szybkie rozkazy, które Britt natychmiast wprowadzał w życie. Mały latacz zawrócił i przyśpieszył; pomknął w nagłych, raptownych skrętach. W końcu Penger kiwnął ręką.

— Zatrzymaj się. Jesteśmy dokładnie koło niej.

Wcisnął się z powrotem w skafander i zanurkował do śluzy powietrznej. Britt czekał w napięciu. Wrócił zaledwie po pięciu minutach, ale zaniepokojonemu młodzieńcowi wydawało się, że minęły całe godziny. Cenna argento-platenoidowa kasetka, z jeszcze bardziej nawet cenną zawartością, znajdowała się pod jego pachą.

Ganimedes szybko rósł na ich ekranie. Arnim rozłożył się wygodnie na swoim hamaku, z głową leżącą na podsuniętych pod nią rękach. Sprawiał wrażenie sennego, zadowolonego z siebie kota, który właśnie wypił całą śmietankę.

Britt jednak krążył niespokojnie w tą i z powrotem, z zatroskaną miną na swym jasnym, chłopięcym obliczu. Rzucił w bok spojrzeniem na starszego kolegę, otworzył usta żeby coś powiedzieć, ale natychmiast je zamknął.

— Co ci tam chodzi po głowie, Britt, wykrztuś to wreszcie — rzucił mimochodem Penger, nie zmieniając swojej pozycji.

Młody człowiek stanął jak wryty, zaskoczony.

— No cóż, jeśli już pan musi wiedzieć, panie Penger — wybuchnął w końcu — to nie podoba mi się myśl o tych Marsjanach, powoli umierających na tej straszliwej planetoidzie. Wiem, że to byli mordercy i tak dalej, ale nic na to nie mogę poradzić.

Arnim zmierzył go przyjaznym spojrzeniem.
— Możesz uspokoić swoje sumienie, Britt. Zaraz jak tylko wyruszyliśmy na Ganimedesa, zawiadomiłem przez radio merkuriański Statek Patrolowy. Jest już w drodze, żeby ich stamtąd zabrać.
— Och.
Arnim przeciągnął się z zadowoleniem.
— Z radością wrócę już na starą dobrą Ziemię, gdzie panuje spokój i cisza!

KONIEC